

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 40/2020
**DODATEK
SPECJALNY**

Zjednoczenie Niemiec

30 LAT PÓŹNIEJ





BRUNI MEYA / BEW

Nocą z 31 grudnia 1989 r. na 1 stycznia 1990 r. berlińczycy witają Nowy Rok w sąsiedztwie Bramy Brandenburskiej i (likwidowanego już) muru. Hasło na transparencie głosi: „Niemcy jedna ojczyzna”.

Majstersztyk zjednoczenia

FILIP GAŃCZAK

Upadek muru berlińskiego nie gwarantował szybkiej jedności Niemiec. Kluczowa okazała się determinacja kanclerza RFN Helmuta Kohla i mieszkańców NRD. Ale i to nie wystarczyłoby, gdyby nie korzystna sytuacja międzynarodowa.

NAPÓR TŁUMU JEST TAK DUŻY, że pół godziny przed północą wschodni Niemcy pogranicznicy rezygnują z kontroli dokumentów. Przez most Bösebrücke, rozciągnięty nad torami kolejowymi, przelewają się tłumnie obywatele Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jest 9 listopada 1989 r. Przejście do Berlina Zachodniego – od prawie trzech dekad szczelnie odgradzonego murem od socjalistycznej NRD – wreszcie staje się możliwe. Euforia ludzi, od 28 lat zamkniętych w komunistycznym państwie więzieniu, jest ogromna.

Angela Merkel, 35-letnia doktor chemii fizycznej z Akademii Nauk NRD, jak w każdy czwartek relaksuje się tego wieczora w saunie. Dopiero w drodze

powrotnej do domu orientuje się, co się stało. Spieszy w stronę przejścia granicznego. Jeśli mur berliński kiedyś upadnie – marzyła wcześniej, żyjąc w prząsnej wschodniemieckiej rzeczywistości – to wraz z rodziną wybierze się na stronę zachodnią do nobliwego hotelu Kempinski i zamówi ostrygi.

Na razie po przejściu granicy ląduje w skromniejszej dzielnicy Wedding. Ktoś obcy zaprasza ją do mieszkania, częstuje piwem z puszką, pozwala skorzystać z telefonu. O pierwszej, może w pół do drugiej w nocy Merkel – „oniemiała i szczęśliwa”, jak zapamięta swój nastrój – wraca do domu we wschodnim Berlinie, by z samego rana karnie stawić się w pracy.

„Nie myślałam od razu o tym, że zjednoczenie Niemiec przyjdzie bardzo

szybko – przyzna po latach. – Wielu moich przyjaciół miało jeszcze wówczas nadzieję na samodzielną »trzecią drogę«, czyli na dalsze istnienie już zreformowanej NRD.

Sprzyjająca chwila

Podobnie kalkuluje wtedy wielu polityków, także tych zagranicznych. Krzysztof Skubiszewski, szef MSZ w solidarnościowym rządzie Tadeusza Mazowieckiego – istniejącym zaledwie od września 1989 r. – ocenia, że zjednoczenie Niemiec to „zagadnienie odległej przyszłości”. Prezydent Francji François Mitterrand mówi z ironią: „Tak bardzo lubię Niemcy, że chcę, żeby były dwa niemieckie państwa”. Brytyjska premier Margaret Thatcher w kuluarach jeszcze wyraźniej daje

do zrozumienia, że nie chce słyszeć o zjednoczeniu. „Ja obawiam się Niemiec” – wyznaje Mazowieckiemu. Polski szef rządu też ma wątpliwości, „czy w przyszłej Europie czynnik niemiecki nie będzie decydujący, czy nie stworzy innej równowagi europejskiej”.

Kluczowa, rzecz jasna, jest postawa Związku Sowieckiego, którego Zachodnia Grupa Wojsk w NRD wciąż liczy ponad pół miliona żołnierzy i pracowników cywilnych.

21 listopada 1989 r. Horst Teltschik, bliski współpracownik kanclerza RFN Helmuta Kohla, podejmuje w Bonn (stolicy RFN) Nikolaja Portugalowa, doradcę sowieckiego przywódcy Michaiła Gorbaczowa. Wysłannik Kremla próbuje dyskretnie wy badać, jak rząd zachodniemiecki zapatruje się na kwestię ewentualnego zjednoczenia z NRD. O poufnej rozmowie Teltschik natychmiast informuje Kohla. „Powiedziałem mu, że jeśli już teraz w Moskwie myśli się o ponownym zjednoczeniu, to my musimy zrobić to samo” – będzie wspominał po latach.

Reakcja Bonn jest błyskawiczna. Zaledwie tydzień później, 28 listopada, kanclerz Kohl – bez uzgodnienia z liberalnym koalicjantem – prezentuje w Bundestagu dziesięciopunktowy plan przewyższenia podziału Niemiec i Europy. Domaga się od NRD pełnej demokratyzacji, roztacza wizję stopniowego zbliżania się dwóch państw niemieckich i wyraźnie podkreśla, że ostatecznym celem rządu RFN jest „odzyskanie państwowej jedności Niemiec”.

W programie Kohla brakuje jeszcze wielu konkretów i ram czasowych, ale i tak jest on dużo śmielszy, niż tego oczekiwano na Kremlu. Sowiecki minister spraw zagranicznych Eduard Szewardnadze w przyływie emocji twierdzi wręcz, że „nawet Hitler” nie pozwolił sobie na coś takiego.

NRD się sypie

Komunistyczne władze NRD próbują jeszcze desperacko powstrzymać erozję „pierwszego państwa robotniczo-chłopskiego na ziemi niemieckiej” – jak długo nazywały swą dyktaturę. Egon Krenz, który w październiku 1989 r. dopiero co stanął na czele Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), już w grudniu musi ustąpić.

Zadłużenie NRD tylko wobec Zachodu sięga w tym czasie 26 mld dolarów. Zwią-

zek Sowiecki, który przez lata subwencjonował państwo wschodniemieckie, sam jest w poważnych tarapatach i nie zamierza podtrzymywać finansowej kroplówki dla wschodniego Berlina. Następcą Krenza w roli szefa partii komunistycznej Gregor Gysi i nowy premier Hans Modrow próbują się uwiarygodnić jako reformatorzy, a jednocześnie jakimś cudem ocalić socjalizm między Odrą a Łabą.

Jeszcze w listopadzie niesławne Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego (Stasi) przekształca się w Urząd Bezpieczeństwa Narodowego (AfNS). Erich Mielke – długoletni szef bezpieczeństwa – 7 grudnia trafia do aresztu śledczego.

Mimo wszystko zmiany są w dużej mierze pozorowane. Na wieść o niszczeniu akt Stasi wściekli obywatele zajmują siedziby Urzędu w Erfurcie, Lipsku, Suhl i Rostocku. 15 stycznia 1990 r. szturmują także berlińską centralę bezpieki przy Normannenstraße. Strach przed wszechwładną policją polityczną przez dziesięciolecie paraliżował wolnościowe zapędy obywateli NRD. Teraz to funkcjonariusze Stasi muszą drzeć o własną przyszłość.

Jesteśmy jednym narodem

W prowincjonalnym Budziszynie na początku grudnia protestują więźniowie polityczni. Nadal odsiadują wyroki za próbę ucieczki na zachód, choć ich współobywatele od prawie miesiąca mogą swobodnie podróżować za granicę. Osadzeni odmawiają więc pracy, grożą głodówką, domagają się amnestii. Podpułkownik Dieter Sternberg, naczelnik więzienia, nie chce o tym słyszeć. Ale decyzje zapadają wyżej. 6 grudnia Rada Państwa NRD uchwała amnestię i kilka dni później pierwsi objęci nią więźniowie wychodzą na wolność.

Od grudnia komunistyczne wciąż władze NRD rozmawiają z opozycją przy Centralnym Okrągłym Stole. To wyraźne nawiązanie do podobnych negocjacji, które wcześniej – od lutego do kwietnia – toczyły się w Polsce.

Znaczna część dotychczasowych wschodniemieckich dysydentów myśli jedynie o reformowaniu kraju, a nie o jego wchłonięciu przez RFN. Jednak nastroje społeczne są coraz bardziej jednoznaczne. Już pod koniec listopada na wielkich demonstracjach w Lipsku i innych miastach zaczyna dominować hasło „Wir sind ein Volk!” („Jesteśmy jednym

narodem”) – podczas gdy wcześniej, we wrześniu i październiku, zanim jeszcze upadł mur, demonstranci rzucali w twarz rządzącym: „Wir sind das Volk!” („To my jesteśmy narodem”).

W lutym 1990 r. już trzy czwarte mieszkańców NRD opowiada się za zjednoczeniem Niemiec. Wielu traci cierpliwość i decyduje się budować nowe życie na zachodzie: do RFN przenosi się z NRD nawet 2 tys. osób dziennie. Ta fala migracyjna może jeszcze wzrosnąć. „Albo marka zachodniemiecka przyjdzie do nas, albo my do niej” – głoszą teraz napisy na transparentach wschodniemieckich demonstrantów.

Gorbaczow się zgadza

Tymczasem przeszkody międzynarodowe znikają jedna po drugiej.

W styczniu 1990 r. Kohl odwiedza Mitterranda w Latche nad Atlantykiem. Wspólne spacerowanie po piaszczystym wybrzeżu pomagają w zbliżeniu stanowisk. Francuz daje się udobruchać zapewnieniem, że zjednoczenie Niemiec nie spowolni integracji europejskiej, lecz wręcz ją przyspieszy.

Wprawdzie Kreml nadal jest niechętny zjednoczeniu, ale coraz większa zapaść gospodarcza Związku Sowieckiego ogranicza pole manewru Gorbaczowa. 8 stycznia 1990 r. Julij Kwicynski, ambasador w Bonn, prosi o pilną rozmowę z Kohlem i bada gotowość władz RFN do udzielenia Moskwy pomocy żywnościowej. Kanclerz godzi się na szybkie i znaczące dostawy „po przyjacielskiej cenie”. Po stronie sowieckiej powstaje w ten sposób nieformalne zobowiązanie, by odpowiedzieć na gest zachodniemieckiego rządu.

Gorbaczow dochodzi zresztą do wniosku, że zjednoczenie Niemiec już się zaczęło i bez użycia czołgów nie da się powstrzymać tego procesu. Zielone światło zapala 10 lutego, gdy w Moskwie goszczą Kohl i minister spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher. „Niemcy muszą sami wiedzieć, jaką drogą powinni pójść” – oświadcza sowiecki przywódca.

Bush, dar od niebios

Pozostaje pytanie, czy zjednoczone Niemcy będą mogły, tak jak RFN, należeć do NATO – komunistyczna NRD wciąż przecież jest członkiem Układu Warszawskiego. W tej sprawie władze w Bonn są na razie ostrożne. W czasie lutowej wizyty w Moskwie Genscher zdaje →

→ się obiecywać, że Sojusz Północnoatlantycki nie rozszerzy się na wschód.

„Do diabła z tym” – irytuje się George Bush senior, gdy 24 lutego 1990 r. gości Kohla w Camp David. Prezydent USA jasno daje do zrozumienia, że Związek Sowiecki przegrał zimną wojnę i nie może narzucić przyszłym zjednoczonym Niemcom neutralności.

Kohl przytomnie zauważa, że Kreml będzie chciał czegoś w zamian za poszerzenie NATO o obszar NRD. „Macie głębokie portfele” – odpowiada Bush. W dalszych rozmowach z Moskwą fundamentalną będą właśnie kwestie finansowej rekompensaty za zjednoczenie Niemiec na warunkach Zachodu.

– Prezydent Bush, sekretarz stanu James Baker i doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Brent Scowcroft to był dar niebios dla Niemiec – wspomina dziś w rozmowie z „Tygodnikiem” Horst Teltschik.

Kohl lawiruje w sprawie granicy

Silny poparciem Amerykanów, Kohl długo unika za to jasnej deklaracji, że granica Polski na Odrze i Nysie jest ostateczna. Tę kwestię – twierdzi wymijająco – będzie mógł rozstrzygnąć dopiero rząd zjednoczonych Niemiec.

W rzeczywistości kanclerz doskonale wie, że żadne z mocarstw nie pozwoliłoby Republice Federalnej na wysunięcie roszczeń wobec ziem, które po II wojnie światowej przypadły Polsce. Jednak przed spodziewanymi wyborami do Bundestagu zjednoczonego już państwa Kohl nie chce zrazić do siebie tej części konserwatywnego elektoratu, która wciąż z sentymentem wspomina Rzeszę rozciągającą się po Wrocław, Szczecin i Olsztyn.

Nad Wisłą taka postawa rządu w Bonn podsycy najgorsze obawy przed niemieckim rewizjonizmem. Ośrodek CBOS ogłasza w marcu 1990 r., że tylko 7 proc. Polaków popiera jak najszybsze zjednoczenie Niemiec, a czterech na dziesięciu definiuje się jako przeciwnicy tego procesu.

Ostatecznie polsko-niemiecki traktat potwierdzający przebieg granicy zostanie podpisany w listopadzie 1990 r., już po zjednoczeniu [patrz tekst Jacka Lepiarsza w tym dodatku – red.].

Wizja „kwitającego kraju”

Na tempo i formę zjednoczenia duży wpływ będą miały pierwsze wolne wybory do Izby Ludowej NRD, zaplanowane

■ W wolnych wyborach 18 marca 1990 r. większość Niemców z NRD opowiedziała się za szybkim zjednoczeniem z Republiką Federalną.

początkowo na maj, a później przyspieszone i rozpisane już na 18 marca 1990 r.

Komuniści przystępują do nich jako Partia Demokratycznego Socjalizmu (PDS). Liczą na wciąż rozbudowane i zdyscyplinowane struktury w terenie. Duża część mieszkańców NRD nadal podpisuje się pod lewicowymi wartościami, ale za grosz nie ufa tym, którzy po 1945 r. wcielali je w życie między Odrą a Łabą. Faworytami długo wydają się więc socjaldemokraci (SPD). Jeszcze na początku lutego sondaże dają im miążdzące zwycięstwo.

Wschodnioniemieccy chadecy (Ost-CDU) przez dekady byli wiernym sojusznikiem komunistycznej SED. Teraz ich nowy lider Lothar de Maizière odcina się od socjalizmu jako „pustego futerału” i opowiada się za „narodową jednością”. Do wyborów wschodnia CDU idzie jako Sojusz dla Niemiec – razem z mniejszymi ugrupowaniami, które powstały już po upadku muru berlińskiego.

De Maizière, z zawodu prawnik, wciąż jest słabo rozpoznawalny. Ale w kampanii mocno wspiera go Kohl – niekwestionowany lider siostrzanej zachodnioniemieckiej CDU. Kanclerz występuje na wiecach wyborczych w NRD i zapowiada szybkie utworzenie unii gospodarczej oraz walutowej obu państw. Później dorzuca obietnicę, że marka wschodnioniemiecka będzie wymieniana na zachodnią w stosunku 1:1, a więc wartość emerydowskich pensji i emerytur będzie podobna jak tych w bogatej RFN. W Erfurcie Kohl rysuje wizję „kwitającego kraju”, który powstanie „w krótkim czasie”.

Mówi dokładnie to, co ludzie chcą usłyszeć – i jest oklaskiwany przez tłumy.

Czytelny wybór

W tym czasie Oskar Lafontaine – kandydat zachodnioniemieckiej SPD na kanclerza w przyszłym wyborach – daje się poznać jako sceptyk unii walutowej. Ostrzega, że emerydowskie przedsiębior-

stwa (niemal wyłącznie państwowe) utracą konkurencyjność, a za Łabą zaplanuje wysokie bezrobocie. Liderzy SPD błędnie przewidują, że najbliższe wybory do Bundestagu odbędą się, jeszcze po staremu, tylko w zachodnich Niemczech – i zapewniają tamtejszy elektorat, że będą bronić zdobyczy socjalnych RFN przed Niemcami ze wschodu.

W NRD taka retoryka jest źle przyjmowana. Socjaldemokratom nie pomagają też niektórzy bliscy im intelektualiści. Np. w przemówieniu wygłoszonym 13 lutego na Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie nad Menem pisarz Günter Grass argumentuje, że potworne doświadczenie Auschwitz przemawia przeciwko „silnym, zjednoczonym Niemcom”.

W Lipsku, Dreźnie, wschodnim Berlinie nastroje ulicy są zgoła odmienne. A wybór dokonany przy urnie – jasny: 18 marca Sojusz dla Niemiec dostaje prawie połowę głosów, przeszło dwa razy więcej niż SPD. Trzeci wynik postkomunistów z PDS zapowiada, że we wschodnich Niemczech pozostaną oni liczącą się siłą polityczną. Na razie jednak tracą wpływ na bieg wydarzeń. Wyborcy dobitnie pokazali, że są za gospodarką rynkową i szybkim zjednoczeniem.

Nowy, demokratyczny już rząd NRD jest za rychłą integracją z RFN. Pierwszym dużym krokiem na drodze do pełnej jedności obu państw staje się unia walutowa, gospodarcza i społeczna, obowiązująca już od 1 lipca 1990 r.

Prawa rynku

Transformacja wschodnioniemieckiej gospodarki z planowej do rynkowej to złoty czas dla ludzi z inicjatywą. Michael Weichert, gastronom, szybko nastawia się na obsługę wycieczek z RFN: w swojej lipskiej gospodzie Sternhöhe oferuje śniadanie za pięć marek zachodnioniemieckich. Za podobną sumę pozwala się przejechać swoim trabantem. Interes kwitnie.

W gorszej sytuacji są pracownicy przedsiębiorstw państwowych. Te czeka prywatyzacja i redukcja zatrudnienia, a w wielu przypadkach upadłość. Według danych Federalnej Agencji Pracy od czerwca do grudnia 1990 r. bezrobocie między Odrą a Łabą rośnie przeszło czterokrotnie: ze 142 tys. (1,6 proc.) do 642 tys. osób (7,3 proc.). Gwałtownie, do niemal 1,8 mln, przybywa też pracowników zatrudnionych w niepełnym wymiarze godzin.



DEREK HUDSON / GETTY IMAGES

Gdy 1 lipca 1990 r. w życie weszła unia walutowa – zakładająca korzystną dla mieszkańców NRD wymianę marki wschodniej na zachodnią – wielu ruszyło na zachód na wielkie zakupy.

Na wzór zachodni w NRD tworzą się urzędy pracy. Brakuje lokali, więc trzeba korzystać z dawnych budynków Stasi i partii komunistycznej. „Przez pierwsze miesiące siedzieliśmy za okratowanymi oknami” – zapamięta Ilona Mirtschin, której urząd mieści się wówczas w stołecznym gmachu bezpieki przy Normanenstraße.

W komunistycznej NRD oficjalnie nie było bezrobocia – każdy miał prawo do pracy. Przedsiębiorstwa zatrudniały dużo więcej ludzi, niż w rzeczywistości potrzebowały. Teraz, zmuszone do wolnorynkowej konkurencji, szybko pozbywają się tych nadwyżek. Nie mają wyjścia, bo po wprowadzeniu marki zachodniemieckiej gwałtownie rosą koszty pracy.

Mocca Fix przegrywa z Tchibo

Tymczasem 21 maja 1990 r. zakłady Sachsenring w saksońskim Zwickau opuszcza trzymilionowy trabant, przez lata najpopularniejszy samochód w NRD. 12-tysięczna załoga nie ma jednak ochoty świętować, bo przyszłość jest niepewna. Trabant – do niedawna duma enerdowskiej motoryzacji – kosztuje prawie 13 tys. marek. Za taką cenę bez problemu można dostać używane bmw.

A to właśnie zachodnie auta cieszą się teraz ogromną popularnością. W pierwszych trzech kwartałach 1990 r. w NRD zostaje dopuszczonych do użytku ok. 450 tys. samochodów, głównie używanych z RFN. Angela Merkel, która po upadku muru zaangażowała się w po-

litykę, kupuje we wrześniu nowego volkswagena golfa. Trabanta z drugiej ręki można już wówczas dostać nawet za skrzynkę piwa. Te bardziej zużyte są wręcz porzucane przez właścicieli. Produkcję w Zwickau uda się utrzymać do wiosny 1991 r.

Podobnie dzieje się w innych branżach. Heinz Luhn, dyrektor zakładów Bero-Kaffee w berlińskiej dzielnicy Köpenick, deklaruje, że będzie chciał uratować jak najwięcej miejsc pracy. Słowo „zwolnienia” nie przechodzi mu przez gardło. Luhn przyznaje jednak eufemistycznie, że niektórzy – rzekomo tylko ci mniej zdyscyplinowani – będą musieli poszukać sobie innego zajęcia. Zakłady Bero-Kaffee – producent słynnej w NRD kawy Mocca Fix – zostają przekształcone w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, ale i to nie przyniesie ratunku. Produkcja kawy ustanie tu w 1991 r.: Mocca Fix przegrywa konkurencję z zachodnimi markami, takimi jak Tchibo czy Jacobs.

To zresztą szerszy problem. Mieszkańcy NRD (ale też innych krajów rozpadającego się bloku wschodniego) nie chcą już rodzimych produktów. Wielkim powodzeniem cieszą się natomiast te z etykietką „Made in West Germany”. Zachodniemiecka sieć dyskontów spożywczych Aldi wietrzy szansę na ekspansję. W brandenburskim miasteczku Kyritz, w dawnej stodole, 8 sierpnia 1990 r. otwiera swą pierwszą filię w NRD. Prowizoryczne warunki nikomu nie przeszkadzają. Już pierwszego dnia klienci stawiają się tłumnie. W tanich dyskontach nawet bezrobotni znajdują coś na swą kieszeń.

Czas obaw, czas anarchii

„Do obaw obywateli NRD o miejsce pracy przyłącza się teraz troska, że w dosłownym tego słowa znaczeniu stracą grunt pod nogami” – alarmuje tymczasem hamburski tygodnik „Der Spiegel”. Ustawa o sprzedaży budynków państwowych z 7 marca 1990 r. teoretycznie ma umożliwić lokatorom tanie wykupienie swoich mieszkań. Ale na zakupy za bezcen ruszają też dawni aparatczyści partyjni, ludzie często obrotni.

Równoległe po ziemi i nieruchomości – niegdyś zawłaszczone przez socjalistyczne państwo – zgłaszają się dawni właściciele i ich spadkobiercy, w wielu przypadkach mieszkający teraz w RFN. Uaktywniają się też zachodniemieccy ↗

→ prawnicy, bankowcy, agenci nieruchomości. Przyjeżdżają mercedesami i zachowują się tak, jakby już byli nowymi właścicielami NRD. Mierzą, filmują, planują remonty. Zagląją do ksiąg wieczystych. Często okazuje się, że w tych ostatnich panuje bałagan.

Do wielu pustostanów – choćby w berlińskiej dzielnicy Mitte – wprowadzają się dzicy lokatorzy. W piwnicach i na parterze otwierają się kluby nocne. Ich zarządcy nie płacą czynszu, prąd nielegalnie pobierają z sąsiedztwa. „Domy należą do tych, którzy w nich mieszkają” – głosi transparent na jednej z kamienic. Policja Ludowa praktycznie już nie interweniuje.

Rozkład dyktatury komunistycznej sprzyja też wzrostowi przestępczości. „Od 1970 r. byłem w Magdeburgu w policji kryminalnej i przez cały ten czas nie mieliśmy ani jednego napadu na bank albo kasę oszczędnościową” – będzie wspominał później Lothar Schirmer. Przyzna, że gwałtownie zmieniło się to po upadku muru. Ujawniają się też neonaziści. Komunistyczny reżim tylko udawał, że w „antyfaszystowskiej NRD” ten problem nie istnieje.

Czas między upadkiem muru a zjednoczeniem często jest nazywany okresem anarchii. W Dreźnie – w obrębie kilku ulic Nowego Miasta – w czerwcu 1990 r. artyści proklamują powstanie Kolorowej Republiki Neustadt (Bunte Republik Neustadt) z własnym rządem i monarchą. We fladze – zamiast ernerdowskich symboli – pojawia się Myszka Miki. Na ścianach wieszane są portrety długoletniego przywódcy NRD Ericha Honeckera, tyle że z dorysowanymi wąsami. Państwko ma własną walutę, wydaje nawet paszporty.

Zobaczyć świat

W socjalistycznej NRD nie było wolności podróżowania, a próbę ucieczki na zachód wielu przypłaciło życiem.

– Przed upadkiem muru nigdy nie byłam na zachodzie. Nie pozwolono mi na to, chociaż w Berlinie Zachodnim mieszkała babcia mojego męża – mówi dziś „Tygodnikowi” Gesine Jüttner z Lipska. W czasach reżimu jeździła tam, gdzie było wolno: nad Bałtyk, na Węgry, do Czechosłowacji, Związku Sowieckiego.

Teraz, gdy granice są otwarte, Gesine może wreszcie zmienić kierunek podróży i już w styczniu 1990 r. wybiera się do Pa-



WIM WISKERKE / ALAMY / BEW

Trabant był dumą ernerdowskiej motoryzacji, ale w 1990 r. mało kto chciał go kupować – Niemcy z (jeszcze) NRD woleli używane auta zachodnie, a stare trabanty często porzucano.

ryża. Nie tylko ona: miliony mieszkańców NRD chcą nadrobić zaległości i zobaczyć w końcu zachodni świat. – Przede wszystkim jeździli samochodami do RFN i Austrii – wspomina dziś Jüttner.

Niektórzy marzą jednak o dalszych eskapadach. 3 kwietnia 1990 r. pierwszy samolot ernerdowskich linii Interflug ląduje na hiszpańskiej Majorce.

Gesine Jüttner rezygnuje z pracy w hotelu i w maju 1990 r. otwiera własne biuro podróży. Wkrótce pilotuje wycieczkę na Florydę.

Niemcy mistrzem

Mario Besoke, kibic piłkarski z Markranstädt pod Lipskiem, 8 lipca 1990 r. jest w Rzymie. Tam z bliska obserwuje tego dnia, jak drużyna RFN, po triumfie nad Argentyną, zostaje mistrzem świata.

Radość jest ogromna po obu stronach niemiecko-niemieckiej granicy. Franz Beckenbauer, trener zwycięskiego zespołu, na fali entuzjazmu wieszczy nieco na wyrost, że po zjednoczeniu reprezentacja Niemiec, wzmocniona piłkarzami ze wschodu, „przez lata będzie nie do pokonania”.

Wprawdzie drużyna narodowa NRD nie zdołała zakwalifikować się na mundial, ale ma w swoich szeregach zdolnych graczy, takich jak Matthias Sammer, Ulf Kirsten, Andreas Thom czy Thomas Doll. Gdy 12 września 1990 r. wschodnioniemiecka kadra ma rozegrać swój ostatni mecz, wielu gwiazd – zajętych już karierą

w zachodnich klubach – nie udaje się ściągnąć na zgrupowanie. Mimo to NRD pokonuje w Brukseli Belgię 2:0. Sammer, zdobywca obu goli, kilka lat później poprowadzi zjednoczone Niemcy do mistrzostwa Europy.

Cena jedności

Tymczasem w wielkiej polityce finalizowane są traktaty i umowy.

Od maja 1990 r. zewnętrzne warunki zjednoczenia negocjowane są w formule „2+4”: dwa państwa niemieckie plus cztery zwycięskie mocarstwa z II wojny światowej: USA, Wielka Brytania, Francja i Związek Sowiecki.

Moskwa długo nie chce widzieć nowych Niemiec w NATO, ale ekipa Gorbaczowa ma nóż na gardle. Bez zachodnioniemieckich pieniędzy Związkowi Sowieckiemu grozi zapaść gospodarcza. Jeśli towarzyszyłby jej upadek Gorbaczowa, to jedność Niemiec mogłaby być zagrożona – wiadomo, że ma on w Moskwie licznych przeciwników, którzy krytycznie patrzą na jego ustępstwa wobec Niemców.

Rząd RFN godzi się więc poręczyć kredyt dla Kremla w wysokości 5 mld marek. Kohl znów liczy na odwzajemnienie tego gestu. I faktycznie: już w czasie wizyty w Waszyngtonie 31 maja sowiecki prezydent sygnalizuje, że zjednoczone Niemcy będą miały prawo „same wybrać swoje sojusze”.

Definitywnie potwierdza to w lipcu, gdy podejmuje kanclerza w Moskwie i na

Kaukazie. W zamian Kohl obiecuje, że Bundeswehra zostanie zmniejszona do 370 tys. żołnierzy, a zjednoczone Niemcy nie będą posiadały ani produkowały broni masowego rażenia. Bonn ma też sfinansować wycofanie wojsk sowieckich stacjonujących dotychczas w NRD.

Konkretną sumę kanclerz Kohl ustala z Gorbaczowem telefonicznie 7 i 10 września. Kohl oferuje 12 mld marek. Ostatecznie dorzuca do tego jeszcze trzymiliardowy nieoprocentowany kredyt. „To były dwie najdłuższe rozmowy telefoniczne w niemieckiej historii” – żartuje politolog Hannes Adomeit.

Ale Teltschik, jeden z uczestników tamtych wydarzeń, daje do zrozumienia, że cena bynajmniej nie była wygórowana: – Gdyby Gorbaczow powiedział wtedy: „Panie kanclerzu, zgadzam się, ale to będzie kosztowało Republikę Federalną Niemiec 50 miliardów albo 80 miliardów”, to czy moglibyśmy powiedzieć „nie”? – pyta dziś retorycznie ówczesny doradca Kohla.

Ostatnia prosta

12 września 1990 r. uczestnicy rozmów „2+4” podpisują w Moskwie „Traktat o ostatecznej regulacji w odniesieniu do Niemiec” – tak brzmi jego oficjalna nazwa. Droga do zjednoczenia i pełnej suwerenności Niemiec jest otwarta. – Gorbaczow powiedział mi, że wiele spraw potoczyłoby się inaczej, gdyby nie miał zaufania do Kohla i Busha – wspomina Teltschik.

O północy 3 października 1990 r. Dzwon Wolności na wieży ratusza w berlińskiej dzielnicy Schöneberg oznajmia, że zjednoczenie Niemiec stało się faktem. Kilka kilometrów dalej, przed Bramą Brandenburską i Reichstagiem, dźwięki hymnu narodowego mieszają się z odgłosem licznych fajerwerków. Politycy i tłumy mieszkańców świętują historyczną chwilę.

© FILIP GAŃCZAK

DR FILIP GAŃCZAK jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie. Opublikował szereg książek, m.in.: „Jan Sehn. Tropiciele nazistów”, „Polski nie oddamy. Władze NRD wobec wydarzeń w PRL 1980–1981”, „Filmowcy w matni bezpieczeństwa”, „Erika Steinbach: piękna czy bestia?”.

A myśmy się spodziewali

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA I HANOWERU

Dla ludzi urodzonych w NRD zjednoczenie było często początkiem osobistych kryzysów, za które obwiniano bogatszy Zachód. Oto historia dwóch braci.

DIRK I FALK LUDWIG WSPOMINAJĄ, że mieli piękną młodość.

Dorastali w niewielkim kurorcie Alexisbad u podnóża pasma górskiego Harz. Otoczeni zielenią drzew, z dala od miejskiego zgiełku. Ich okres dojrzewania przypadł na lata 80. XX wieku. Falk dość wcześnie odkrył u siebie kulinarne powołanie. Z ochotą pomagał rodzicom w prowadzeniu restauracji. Z kolei uwagę Dirka od wczesnych lat przykuwało wszystko, co poruszało się na kołach. W wieku 16 lat dostał od dziadka motor. Żeby rozwijać swoje pasje motoryzacyjne, zaciągnął się do wojska – chciał starać się tam o stanowisko mechanika.

Gdy zaczęli wchodzić w dorosłość, świat wokół nagle przyspieszył. Choć żyli na cichej prowincji, również tam jesienią 1989 r. dochodziły wieści z Berlina czy Lipska. Demonstracje, tłumy na ulicach, upadek muru, w końcu powstanie zjednoczonych Niemiec.

Nowa rzeczywistość rozdzieliła braci. Falk postanowił wyjechać na zachód, Dirk został na wschodzie. 30 lat później z dystansem wspominają trudne czasy, które nastąpiły wraz z pochowaniem Niemieckiej Republiki Demokratycznej na cmentarzu historii.

Jeśli to prawda...

54-letni dziś Falk Ludwig jest jednym z milionów Osis [Ossi to popularne określenie Niemca z byłej NRD; Niemiec z dawnej RFN to Wessi – red.], których po zjednoczeniu rzeczywistość zmusiła do opuszczenia domu za pracą. Aby z nim porozmawiać, jadę do Hanoweru. Tam mieszka z żoną i pracuje jako konsultant dla koncernu teleinformatycznego.

Hanower to klasyczna zachodnia metropolia. Niezbyt ładna, bo starą substancję miasta zniszczyły alianckie naloty podczas II wojny światowej. Za to tętniąca życiem, z zatłoczonymi ulicami, na których można spotkać ludzi z całego świata.

Ludwig po wyjeździe na zachód kilkakrotnie zmieniał miejsce pobytu, aby w końcu 10 lat temu na dobre osiąść tu, w stolicy Dolnej Saksonii. – Tutaj czuję się u siebie – wyznaje zaraz na początku spotkania.

Na zachód wyjechał już w 1992 r. Przypominam mu impuls, który doprowadził do rozmowy: 3 października zjednoczone Niemcy obchodzą swoje 30. urodziny.

– Będziesz świętował? – pytam.

– W 1990 r. nie chciałem, żebyśmy tworzyli wspólne państwo – odpowiada wymijająco.

Aby dokładniej opowiedzieć swoją historię sprzed trzech dekad, Falk zabiera mnie do parku, po którym codziennie spaceruje z psem. Siadamy na ławce i otwieramy piwo Beck's z Bremy. Wcześniej umawialiśmy się, że napijemy się piwa ze wschodnich Niemiec. Szybko ustaliliśmy, że obaj lubimy markę Ur-Krostitzer z browaru Krostitz pod Lipskiem albo Lübzer, warzone w Meklemburgii. Niestety w jedynym pobliskim kiosku (tak nazywają się w Niemczech małe sklepiki z tytoniem, alkoholem i słodyczami) nie ma piw ze wschodu. – No widzisz, dyskryminacja – żartuje Falk.

Rosły i jowialny mężczyzna poważnieje z chwilą, gdy myślami wraca do wydarzeń sprzed 30 lat: – Był piątek 10 listopada, szósta rano – zaczyna. Włączając radio nie spodziewał się niczego niezwykłego. A już na pewno nie sensacji, →

→ że nocą otworzono przejścia na granicy z RFN. „To nie może być prawda” – taka była pierwsza jego myśl. Druga była już natury praktycznej: „Jeśli to prawda, to potrzebuję pozwolenia na wyjazd”.

Musiał pojechać na posterunek milicji i ustawić się w kolejce, aby urzędnik wbił mu do dowodu stempel umożliwiający przekroczenie granicy. Było wielu ludzi, ale już samo stanie w tej grupie było niezwykle. – Urzędnicy cierpliwie wbijali pozwolenie do kolejnych dowodów.

Pierwsze zakupy

Następnego dnia wyruszył do Berlina Zachodniego razem z matką i żoną.

– To wszystko wyglądało jak wielki festiwal. Byliśmy pijani ze szczęścia. Wszędzie było mnóstwo ludzi. Mieszkańcy Berlina Zachodniego rozdawali nam przygotowane torby z artykułami spożywczymi – wspomina Ludwig.

Chodził po ulicach i głównie patrzył, co ile kosztuje. W kieszeniach miał już trochę zachodnich pieniędzy. W kantorze za jedną zachodnią markę musiał zapłacić 16 marek wschodnich. W głowie działał kalkulator, przeliczający ceny z marek zachodnich na wschodnie. „Co i ile mogę kupić za to, co mam?” – pytał sam siebie. Wychodziło, że niewiele.

Pierwszy zakup? – To były trzy paczki papierosów marki West – na to wspomnienie obaj reagujemy śmiechem, bo trudno sobie wyobrazić bardziej stereotypową scenę na poczet artykułu o wydarzeniach sprzed 30 lat.

Ale to wspomnienie to równocześnie trauma, która do dziś mocno siedzi w moim rozmówcy.

– Papierosy sprzedawał chłopak prosto ze swojego samochodu. Można było płacić wschodnią walutą, paczka kosztowała kilka wschodnich marek. Pieniądze kazał po prostu rzucać na maskę samochodu, gdzie już zdążyła zbierać się duża kupka. To było dla mnie upokarzające. Miałem wrażenie, że dla niego nasze pieniądze są nic niewarte – opowiada Ludwig.

Wizje alternatywne

Podczas tej pierwszej wizyty z Falkiem nie było jego brata Dirka. Żeby dowiedzieć się, co robił w tym czasie, jadę do Seehausen, dzielnicy Lipska. Tam, w zasadzie już poza miastem, Dirk Ludwig nadzoruje budowę swojego nowego domu.

Na razie wciąż mieszka na osiedlu zbudowanym w czasach NRD, w bloku. Te-

raz cieszy się, widząc postępy ekipy budowlanej. Jest podobny do brata (pomijając brak włosów).

– Służyłem wtedy w wojsku, stacjonowałem w Eggesin, 50 km od Szczecina – zaczyna. O otwarciu granic również dowiedział się z radia. Nie mógł tak po prostu opuścić jednostki. Do Berlina Zachodniego pojechał dopiero w 1990 r. – Odebrałem tam tzw. pieniądze powitalne, sto marek zachodnich – mówi.

Taką kwotę rząd RFN przyznawał jednorazowo każdemu obywatelowi NRD, który przyjechał na zachód. Czy coś kupił? – Nic! Te pieniądze to był skarb. Pojechałem z nimi do domu.

Bracia różnili się w ocenie nadchodzących historycznych zmian. Dirk zaakceptował, że sytuacja jest bezalternatywna. Natomiast Falkowi szybko minął hurraoptymizm, który towarzyszył mu podczas eksplorowania Berlina Zachodniego. Zaczął być sceptyczny co do przyszłości kraju. – Nie chciałem po prostu wchłonąć NRD przez zachód. Wiedziałem, że po-

wrót do kapitalizmu to jak krok wstecz. A ja zawsze chciałem iść do przodu – tłumaczy.

W wolnych wyborach, które odbyły się w marcu 1990 r., Falk głosował na Partię Demokratycznego Socjalizmu (PDS), spadkobierczynię Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), która przez całe istnienie NRD sprawowała władzę.

Przyznaje dziś, że chciał zbliżenia obu państw, ale nie na zasadach dyktowanych, jak mówi, przez zachodnie Niemcy. – To mogłoby być państwo federalne, gdzie wschód mógłby cieszyć się jakiegoś rodzaju specjalnym statusem – snuje alternatywne wizje.

Ale większość Niemców z NRD uważała inaczej. PDS uzyskała tylko 16 proc. Partie, które zdobyły zdecydowaną większość, opowiadały się za szybkim zjednoczeniem. Falk: – Jak zobaczyłem, że CDU dostało ponad 40 proc. głosów, to pomyślałem „Czy wy jesteście stuknięci?”. Ludzie dali się omamić wizją zmian na lepsze. Wszyscy chcieli zachodnią markę, za-



chodnie auta, pełne półki. Wyobrażano sobie, że wraz ze zjednoczeniem nastąpi dobrobyt.

W końcu także jego rodzina przyjęła to jako okoliczność dziejową, z którą trzeba się pogodzić.

Falk nie pamięta, co robił 3 października 1990 r., gdy NRD przestała istnieć i powstało jedno państwo niemieckie. Również Dirk nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie: – Pamiętam, jak minister spraw zagranicznych RFN Hans-Dietrich Genscher jesienią 1989 r. stoi na balkonie ambasady w Pradze i ogłasza uchodźcom z NRD, że zostaną wpuszczeni do RFN. To była jedna konkretna sytuacja. Tak samo jak upadek muru. Ale później wszystko działa się stopniowo. W pewnym momencie było już jasne, że będzie jedno państwo. W październiku to była już tylko formalność.

Za drogie piwo

W nowej rzeczywistości rodzina Ludwigów postanowiła kontynuować to, czym

parała się w czasach NRD, czyli prowadzeniem restauracji w górskim Alexisbad. Za komunizmu lokal należał do państwa, jak wszystko wokół. – W weekendy klienci walili do niego drzwiami i oknami. Gości trzeba było wieczorem wyganiać – wspomina Falk.

Rodzina przeprowadziła prostą kalkulację: za NRD było dobrze, więc w systemie wolnorynkowym będzie jeszcze lepiej. Ludwigowie wzięli kredyt, odnowili lokal i zatrudnili dodatkowy personel. Jednak po trudzie remontów i ponownym otwarciu musieli skonstatować, że liczba klientów dramatycznie spadła.

– Nie przewidzieliśmy, że ludzie zyczajnie nie będzie już stać na jedzenie poza domem – mówi Falk. W NRD piwo kosztowało 50 wschodnich fenigów, a po wprowadzeniu zachodniej waluty za pół litra trunku trzeba było płacić już 1,5 marki. Dodatkowo powstała drobna, ale skuteczna konkurencja: małe sklepiki i budki z piwem otwierano np. w garażach. Piło się obok nich na stojąco lub na prowizorycznych, skleconych z byle czego siedzeniach. Ale cena była niska, a to było wtedy najważniejsze.

Restauracja Ludwigów zaczęła przynosić straty. Szukając dodatkowego zarobku, Dirk zatrudnił się jako kierowca w nowej firmie turystycznej. Ten biznes założył burmistrz jednego z okolicznych miast, który z powodu zbyt bliskiej współpracy z SED w minionym ustroju nie mógł już liczyć na kontynuowanie kariery politycznej. Jego motto brzmiało „Na Zachód!”.

– Robiliśmy kilkudniowe objazdy, do Kolonii, Hagi i Amsterdamu. Zainteresowanie było bardzo duże – wspomina. Wielu ludzi wciąż odczuwało potrzebę rekompensaty za brak możliwości podróżowania w czasach NRD. – Gdy widziałem żebraków na ulicach Kolonii lub narkomanów dających sobie w żyłę na dworcu autobusowym w Amsterdamie, to zadawałem sobie pytanie, czym tak naprawdę jest ta wolność, której tak pragnęliśmy – mówi dziś.

Do nielicznych gości restauracji Ludwigów należały osoby, które jeszcze przed upadkiem muru albo zaraz potem zdążyły wyjechać do RFN i teraz odwiedzały *Heimat*. – Ciągłe słyszałem od nich pytanie: dlaczego nie wyjedziesz? Przecież tu już prawie nikt nie został – mówi Falk. – A my myśleliśmy, że ktoś tu musi zostać, żeby mogło się coś zmienić.

Przyznaje, że po upadku muru co chwilę dowiadywał się o kolejnych znajomych, którzy zdecydowali się spróbować swoich sił w zachodnich Niemczech.

Nierentowne, przestarzałe

W ciągu niespełna roku, który minął od upadku muru – od 9 listopada 1989 r. do 3 października 1990 r. – około 16-milionową NRD opuściła rekordowa liczba 800 tys. osób. Powołanie jednego państwa miało ten proces zatrzymać.

Ale ludzie wyjeżdżali dalej. W kolejnych latach wiele regionów straciło nawet kolejne 20 proc. ludności. Miasta pustoszały, a zamiast przewidywanego przez niektórych boomu gospodarczego zaczął się okres bankructw.

– Nie tylko nam wiodło się beznadziejnie – wspomina Falk Ludwig. Z nieukrywaną złością wskazuje na działalność Treuhandanstalt – Urzędu Powierniczego ds. Prywatyzacji Mienia byłej NRD. Instytucja miała sprywatyzować wschodniemieckie zakłady. Jednak zamiast postawić gospodarkę byłego NRD na nogi, zapisała się w najnowszej historii Niemiec jako uprzedzony i bezduszny komornik. Spośród 14 tys. przedsiębiorstw, które przekazano w powiernictwo Treuhand, 4 tys. zostało przez urząd zamkniętych. Powody były zawsze podobne: nierentowne, przestarzałe, niekonkurencyjne. Likwidowano zakład za zakładem, co pociągnęło za sobą w byłej NRD utratę ponad 2 mln miejsc pracy.

– Nas to wyjątkowo bolało, bo te wszystkie wyprzedawane przedsiębiorstwa należały do państwa, a więc pośrednio także do nas wszystkich, do 16 mln obywateli NRD – w pewnym momencie również rozmowa z Dirkiem schodzi na temat Treuhand.

– Teraz słusznie krytykuje się Chiny, że podkupują konkurencję i przejmują obce technologie. Ale wtedy nikt głośno nie protestował, że wykupywano nasze zakłady, a specjalistów wywożono na zachód – uważa Dirk. – Gdy jeszcze w szkole w NRD czytaliśmy Marksa, to →



EBERHARD KLÖPPEL / ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

Górnicy z kopalni soli potasowej w miejscowości Bleicherode w górach Harz protestują w 1990 r., domagając się zachowania miejsc pracy. Po unii walutowej kopalnia była początkowo zarządzana przez Urząd Powierniczy (Treuhand), wkrótce wstrzymano wydobycie.

→ nikt tego nie brał do końca na poważnie. Ale w pierwszych latach 90. wielokrotnie myślałem, że wszystko jest dokładnie tak, jak Marks opisał to w „Kapitale”.

Zintegrujcie nas

„Treuhand stał się dla nas, Niemców ze wschodu, symbolem twardego, wprowadzanego nocą turbokapitalizmu” – pisze w książce pt. „Zintegrujcie najpierw nas!” Petra Köpping, która w landowym rządzie Saksonii pełni funkcję minister ds. socjalnych i spójności społecznej.

Tytuł jej książki to wynik jednego ze spotkań z wyborcami, podczas którego rozmowa zeszała na kwestię integracji uchodźców. W pewnym momencie jakiś mężczyzna wstał i rzucił wściekły w jej stronę: „A pani znów o tych swoich uchodźcach. Zintegrujcie najpierw nas!”.

Köpping poświęca Treuhand spory rozdział. Uważa, że tak jak pokojowa rewolucja z 1989 r. stała się pozytywnym mitem ówczesnych zmian, tak prywatyzacja – naznaczona niesprawiedliwością i korupcją – jest równie silnym negatywnym mitem, który wspomina się zawsze, mówiąc o tamtych czasach. I choć wiele zakładów musiało upaść, bo gospodarka NRD pogrążona była w autentycznie głębokim kryzysie, to niesławne działania Urzędu Powierniczego sprawiły, że skargi mieszkańców byłej NRD zawsze kierują się w stronę zachodnich Niemiec.

Köpping przywołuje kilka przykładów niesprawiedliwości wyrządzonej przez Treuhand. Jak Huta Małgorzaty w saksońskim Großdubrau: w czasach NRD w zakładzie, który specjalizował się w produkcji izolatorów energetycznych, pracowało 800 osób. Park maszynowy także na początku lat 90. był nowoczesny, sprowadzony głównie ze Szwajcarii, a 80 proc. produkcji eksportowano na cały świat. Słowem: mimo NRD-owskiego rodowodu huta prosperowała. Jednak gdy Treuhand ją sprywatyzował nowy właściciel ogłosił, że zakład nie jest rentowny, i zaczął go zamykać. Pracownicy, z którymi rozmawiała Köpping, wspominają o wynoszonych nocami maszynach i dokumentacji zawierającej technologiczne *know-how* firmy.

Inny przykład: fabryka porcelany z Colditz. Po zjednoczeniu zakład nie obraział się na nowe realia. Zamierzał ruszyć z produkcją wyrobów szklanych, nada-

■ Fizyczna granica dzieląca Niemców ze wschodu i z zachodu zniknęła 30 lat temu. Ale ta w ludzkich głowach utrzyma się jeszcze długo.

jących się do mycia w zmywarkach. Dyrekcja przewidywała, że zmywarki, powszechne na zachodzie, wkrótce staną się standardem we wschodniemieckich kuchniach. Ale żaden bank nie chciał udzielić fabryce kredytu. Treuhand sprzedał w końcu firmę za symboliczną markę zachodniemu inwestorowi, który ją zamknął. Dziś w internecie można jeszcze od czasu do czasu znaleźć – oznaczone jako „kultowe” i „tarytas z NRD” – wyroby z logiem Colditz Porzellan.

Kwestia społeczna

Zdaniem Falka Ludwiga proces prywatyzacji został przeprowadzony pod dyktando zachodniemieckich koncernów, które chciały albo tanio wykupić firmy w byłej NRD, albo po prostu pozbyć się ewentualnej konkurencji.

W każdym razie podczas kilkuletniej działalności Treuhand (urząd zamknięto z końcem 1995 r.) 80 proc. sprywatyzowanych przedsiębiorstw z terenu byłej NRD trafiło w ręce właścicieli z zachodu Niemiec, 14 proc. do zagranicznych inwestorów, a tylko 6 proc. zostało wykupionych przez kapitał wschodniemiecki. Wiele marek, które w NRD stanowiły dobra codziennego użytku, zniknęło z rynku.

Petra Köpping uważa, że masowe zamykanie firm było dla mieszkańców byłej NRD problemem nie tylko dlatego, gdyż tracili stały dochód. Pisze: „Wiele osób na zachodzie nie rozumie, że na wschodzie zakład pracy był czymś więcej. To było centrum, wokół którego powstawały kluby sportowe, centra kultury, apteki i całe otoczenie społeczne”. Ludzie zostali tych usług społecznych pozbawieni w tym samym momencie, gdy utracili pracę.

W 1995 r. we wschodnich landach bezrobocie sięgnęło 13,9 proc., a dwa lata później zbliżyło się do 18 proc. Na tym poziomie utrzymywało się przez blisko kolejne 10 lat.

Różnice kulturowe

Po mniej więcej roku starań o przyciągnięcie nowych klientów do rodzinnej restauracji Falk uznał, że trzeba porzucić mrzonki o godnym życiu na wschodzie i wyruszyć na zachód. Razem z matką, żoną i kilkuletnim synem w kwietniu 1992 r. wyjechał aż do Münster, miasta w Nadrenii Północnej-Westfalii, 70 km od granicy z Holandią. – Czułem się wciąż, jakbym wyjeżdżał za granicę – przypomina sobie. Tam podjęli się prowadzenia restauracji, tym razem na terenie klubu tenisowego.

Szybko wyszły różnice kulturowe. – Bywalczy klubu nie chcieli jeść przygotowywanych przez nas potraw – mówi Falk. – Robiliśmy to, co potrafiliśmy i co wcześniej zawsze ludziom smakowało: rolady, gulasz, kotlety – wylicza. – Z czasem zaczęliśmy podpytywać członków klubu, dlaczego do nas nie przychodzą.

Okazało się, że oczekują konkretnych regionalnych potraw i konkretnych składników. Falk: – Oni nie chcieli się zniżyć do naszego wschodniego poziomu, tylko pozostać na swoim, zachodnim. Musieliśmy pozamawiać czasopisma kulinarne i udać się na poszukiwanie produktów i przypraw, których wcześniej nie używaliśmy.

Przyspieszona edukacja i zmodyfikowane menu, w którym pojawiły się potrawy sezonowe, jak szparagi, zaczęły przynosić skutki. Klienci zaglądali coraz chętniej.

Kolejne lata Falk wspomina jako ciągłą pracę, którą musiał łączyć z samodzielną opieką nad synem po tym, jak rozstał się z żoną. Nie pomagał mu zachodni system przedszkolny, który zakładał odbieranie dziecka na przerwę obiadową. – W NRD ośmiogodzinna opieka przedszkolna była standardem, bo większość kobiet musiała pracować. Natomiast na zachodzie wciąż dużo kobiet zostawało w domu – tłumaczy.

Nawet po latach nie wyzbył się nawyku, który w jego głowie zaczął działać już podczas pierwszej wizyty w Berlinie Zachodnim: – Wciąż liczyłem, ile co kosztuje.



ŁUKASZ GRAJEWSKI

Dirk Ludwig



ARCHIWUM PRYWATNE

Falk Ludwig

Szklany sufit

Dirka przed wyjazdem na zachód uchronił przypadek.

– Miałem już propozycję, aby przyuczyć się do zawodu w zakładach Mercedes w Stuttgarcie. Ale przez znajomych dowiedziałem się o wolnym miejscu w lokalnym oddziale Sparkasse, Kasy Oszczędnościowej, we Falkenbergu – wspomina. Falkenberg to miasto położone blisko granicy Brandenburgii i Saksonii.

W gęstej sieci Kas Oszczędnościowych również i dziś Niemcy najchętniej zakładają konta bankowe i lokują pieniądze. Dla Dirka było jasne, że w regionie tak pewne miejsce pracy może się już nie pojawić. – A ja naprawdę chciałem zostać na wschodzie – twierdzi.

W Sparkasse przepracował kilkanaście lat. Mógł tutaj z bliska obserwować problem, który przy bilansie zjednoczenia jest niemal tak samo często wymieniany jak Treuhand: – W Sparkasse mogłeś robić karierę, ale tylko do pewnego momentu. Wszystkie stanowiska kierownicze były obsadzone ludźmi z zachodu. Nie było chyba placówki zarządzanej przez kogoś z byłego DDR – wspomina.

Dyrektorzy placówek często nie przeprowadzali się na wschód. Wybierali codziennie dojazdy, trwające nawet po dwie godziny w jedną stronę.

O podobnym szklanym suficie i kierowniczych stanowiskach zarezerwowanych dla zachodnich specjalistów zaświadcza setki świadectw pracowni-

ków uczelni, mediów publicznych czy szpitali.

Nic nie spada z nieba

Pytany o bilans ostatnich 30 lat, Dirk pokazuje w kierunku budowanego domu. – Wyszedłem na swoje – mówi.

Jednak mentalny podział na wschód i zachód wciąż jest dla niego oczywistością. Bo w głowie najsilniej utrwalają się doświadczenia bolesne. Takie jak wtedy, gdy usłyszał od przypadkowo spotkanego mężczyzny: „O, mówisz po niemiecku, a myślałem, że w NRD wszyscy mówili po rosyjsku”.

Dirk uważa, że paternalistyczne podejście wciąż widać w mediach, które piszą o wschodzie zwykle w kontekście problemów tutejszej ludności z imigrantami, o jej rzekomo słabym przywiązaniu do zasad demokratycznych, o działających tu grupach skrajnie prawicowych. – Naturalne jest, że w pierwszych latach trzeba mówić dzieciom, co mają robić, ale po 30 latach? – dziwi się.

– Przyjazdy w rodzinne strony były dla mnie często powodem frustracji – mówi z kolei Falk. Denerwował go ton, w jakim ludzie mówili o swoich problemach: – Tak jakby wszyscy inni byli odpowiedzialni za ich sytuację, ale nie oni sami – tłumaczy.

– On sam po wyjeździe miał już inną perspektywę. Stał się częścią wielomilionowej grupy, która wzięła sprawy w swoje ręce.

Dziś Falk jest już o wiele łagodniejszy w osądzie: – W NRD nie pozwalano na własną inicjatywę, to było dla systemu niebezpieczne. Dlatego największym problemem w czasie zjednoczenia było oczekiwanie, że teraz wszystko spadnie nam z nieba. A to, że nas zachód później wiele razy oszukał, tylko pogorszyło sprawę – mówi.

Falk uważa, że to właśnie z rozczarowania przebiegiem zjednoczenia wynika, iż wielu mieszkańców wschodu do dziś demonstracyjnie podkreśla swoją postawę „przeciwko”.

Dochodzi do tego gloryfikowanie „starych czasów”. – Ci, co mówią, że w NRD było lepiej, zapomnieli chyba, jak żyli. My do toalety musieliśmy wychodzić na podwórko – wspomina.

Teraz Falk mieszka we własnym dużym mieszkaniu w centrum Hanoweru.

Dirk z żoną zamierzają wprowadzić się do budowanego za Lipskiem domu na wiosnę przyszłego roku. W budynku nie ma jeszcze ścian. Ale dumny Dirk zabiera mnie na pierwsze piętro i pokazuje miejsce, w którym powstanie pokój gościnny: – Tu będzie mógł się zatrzymać Falk.

Brat z Hanoweru dojedzie do Lipska w niepełne trzy godziny. Po drodze minie tablicę pamiątkową postawioną przy autostradzie A2 – w miejscu, gdzie RFN graniczyła z NRD.

Fizyczna granica zniknęła 30 lat temu, ta w ludzkich głowach utrzyma się jeszcze długo. © ŁUKASZ GRAJEWSKI



Kanclerz Niemiec Helmut Kohl i premier Tadeusz Mazowiecki. Warszawa, 9 listopada 1989 r.

Zjednoczenie a sprawa polska

JACEK LEPIARZ

**Między wspólnotą interesów a nieufnością:
jak wyglądały relacje między Polakami i Niemcami
w czasach przełomu 1989–1991?**

PRZEJMUJĄC 31 LAT TEMU – WE WRZEŚNIU 1989 r. – odpowiedź za Polskę, nowa ekipa rządowa premiera Tadeusza Mazowieckiego była zdecydowana na przełom w relacjach z Republiką Federalną Niemiec.

Punkt wyjścia był jednak niełatwy. Pojednanie z Niemcami było od dawna celem demokratycznej opozycji, wywodzącej się z Solidarności i związanej z Kościołem katolickim. Jej działacze uznawali prawo Niemców do samostanowienia, uważając, że w interesie Polski jest likwidacja komunistycznego reżimu w NRD, gdyż odgradza on Polskę od Zachodu. Ale w chwili, gdy Mazowiecki zostawał premierem, perspektywa zjednoczenia obu państw niemieckich wydawała się problemem czysto teoretycznym i bardzo odległym.

Obóz Solidarności był przy tym jedyną siłą polityczną zdolną do odrzucenia dogmatu obowiązującego od roku 1945, zgodnie z którym „problem niemiecki” jest ostatecznie zamknięty, a powojenny podział Niemiec i istnienie dwóch państw – RFN oraz NRD – pozostają zgodne z polską racją stanu. Każda próba naruszenia tego *status quo* miała, zdaniem rządzących PRL-em komunistów, prowadzić do zakwestionowania nienaruszalności zachodniej granicy i traktowana była jako zdrada stanu.

Odrzucając ten dogmat, Mazowiecki i jego ekipa mogli się oprzeć na bogatym dorobku programowym, jaki wypracowywano w dyskusjach prowadzonych już od lat 70. poza systemem cenzury.

Polska opozycja dyskutuje o Niemcach

Za prekursora nowatorskiego podejścia do problemu niemieckiego wśród krajowych środowisk opozycyjnych należy uznać Polskie Porozumienie Niepodległościowe (PPN). Istniejąca od 1976 r. tajna organizacja, której pomysłodawcą i nieformalnym liderem był Zdzisław Najder, stała na stanowisku, że Polacy mogliby uznać przyszełe zjednoczenie Niemiec pod warunkiem potwierdzenia przez nie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej – przy jednoczesnej integracji nowych zjednoczonych Niemiec ze Wspólnotą Europejską.

„Byliśmy ciągle straszeni Niemcami i nieustannie nam wbijano, że nasze interesy z tym państwem są sprzeczne, i że gwarantem istnienia naszej niepodległo-

ści jest NRD. Myśmy zaś postawili tezę, że nie ma niepodległej Polski bez zjednoczonych Niemiec, nie ma zjednoczonych Niemiec bez niepodległej Polski” – tak Najder opisywał po latach stanowisko PPN.

Porozumienie, w którym działali m.in. Jan Olszewski, Andrzej Kijowski, Jan Józef Szczepański, Wojciech Włodarczyk czy Jerzy Holzer, miało wpływ na rozwijający się od połowy lat 70. drugi obieg – wydawane poza cenzurą podziemne wydawnictwa, które umożliwiały nieskrępowane dyskusje o sprawach polsko-niemieckich.

„Ruch społeczny w Polsce uznaje prawo wszystkich bez wyjątku narodów do samookreślenia się, a w konsekwencji również prawo Niemców do zjednoczenia się, z zachowaniem odpowiednich gwarancji dla bezpieczeństwa europejskiego” – pisał w 1985 r. Ernest Skalski w drugoobiegowej publikacji „Jała 40 lat później”.

Stanowisko obozu Solidarności wobec kwestii niemieckiej trafnie opisał Artur Hajnicz (po wyborach w 1989 r. szef Ośrodka Studiów Międzynarodowych przy Senacie RP): „W przeciwieństwie do stanowiska rządowego [tj. władz PRL], polska opozycja uznawała kwestię niemiecką za otwartą, a sprawę granicy na Odrze i Nysie za zamkniętą. Wynikało to z tego, że polska opozycja już wówczas uważała zjednoczeniowe tendencje obu państw niemieckich nie tylko za teoretycznie i moralnie uzasadnione, ale też za aktualne”.

„Nie powinno to jednak być związane z prawnym i politycznym kwestionowaniem granicy [przez Niemców – red.]. Nie uznawaliśmy więc istnienia *iunctim* między kwestią niemiecką, tzn. zjednoczeniem Niemiec, a sprawą granicy” – pisał Hajnicz w książce „Ze sobą czy przeciw sobie” (wydanej w 1996 r.).

Mazowiecki i Kohl przyspieszają

W *exposé*, wygłoszonym 12 września 1989 r., Mazowiecki jednoznacznie opowiedział się za przyspieszeniem w relacjach z RFN. „Potrzebujemy przełomu w stosunkach z Republiką Federalną Niemiec. Społeczeństwa obu krajów poszły już znacznie dalej niż ich rządy. Liczymy na wyraźny rozwój stosunków gospodarczych, chcemy prawdziwego pojednania na miarę tego, jakie się dokonało między

Niemcami a Francuzami” – mówił w Sejmie.

Przyszły szef polskiego rządu rozmawiał telefonicznie z kanclerzem Helmutem Kohlem już 31 sierpnia – w tydzień po zaakceptowaniu przez parlament jego nominacji. Mazowiecki prosił o pomoc dla gospodarki, która latem 1989 r. pogrążyła się w coraz poważniejszym kryzysie. „Dla polskiego społeczeństwa jest ważną sprawą osiągnięcie pojednania z Niemcami oraz poczucie, że żyje ono w bezpiecznych granicach” – mówił także kanclerzowi.

O znaczeniu, jakie Mazowiecki przywiązywał do kontaktów z Bonn (ówczesną stolicą zachodnich Niemiec), świadczy błyskawiczne powołanie osobistego pełnomocnika premiera ds. rozmów z Urzędem Kanclerskim. Został nim redaktor „Tygodnika Powszechnego” Mieczysław Pszon, jeden z najbardziej zaufanych współpracowników Mazowieckiego.

Wkrótce potem, 13 października, prawo Niemców do samostanowienia potwierdził w wywiadzie dla „Bild Zeitung” (największego dziennika w zachodnich Niemczech) Bronisław Geremek – już nie jako działacz opozycji, lecz szef Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. „Niemcy powinni mieć prawo decydowania sami, czy chcą zjednoczenia” – w tym momencie, gdy we wschodnich Niemczech dopiero zaczynała się pokojowa rewolucja, słowa Geremka brzmiały rewolucyjnie.

Jesienią 1989 r. do ocieplenia relacji na linii Warszawa–Bonn przyczyniła się też polska pomoc dla uciekinierów z NRD, którzy znaleźli schronienie w ambasadzie RFN w Warszawie i umożliwienie im, mimo protestów władz w Berlinie Wschodnim, wyjazdu do RFN.

Kanclerz jedzie do Polski

Helmut Kohl przybył z oficjalną wizytą do Warszawy już wkrótce – 9 listopada. Towarzyszyło mu siedmiu ministrów i ponad 70 reprezentantów życia politycznego i gospodarczego, a także świata nauki i kultury. Pomimo dramatycznych okoliczności – niespodziewany upadek muru berlińskiego, który nastąpił tego samego dnia wieczorem i zmusił Kohla do przerwania wizyty na 24 godziny (w tym czasie pojechał on do Berlina) – wizytę kanclerza można uznać za punkt kulminacyjny pierwszego etapu →

→ budowania jakościowo nowych relacji polsko-niemieckich.

„Wspólne Oświadczenie”, podpisane przez Mazowieckiego i Kohla 14 listopada (na zakończenie wizyty kanclerza), stało się „busolą i rozkładem jazdy” – otwierało szerokie perspektywy współpracy. Przyjęte uzgodnienia wychodziły naprzeciw polskim oczekiwaniom w sprawach gospodarczo-finansowych, zapowiadały utworzenie instytutów kultury i wymianę młodzieży, a także stworzenie warunków dla rozwijania tożsamości kulturowej mniejszości niemieckiej w Polsce i osobom polskiego pochodzenia w Niemczech.

„Wspólnota losów i interesów” Polaków i Niemców – hasło ukute wtedy przez szefa MSZ Krzysztofa Skubiszewskiego – opierała się na wspólnym celu: przewycięzeniu porządku jałtańskiego.

Sprawa granicy zaczyna rzucać cień

Tymczasem upadek muru berlińskiego tworzył nową sytuację nie tylko w Europie, ale także w relacjach Polski z RFN. Zjednoczenie Niemiec, będące dotąd czymś abstrakcyjnym, teraz niemal z dnia na dzień stawało się realną perspektywą polityczną.

„Kwestia graniczna stała się głównym tematem rozmów. Towarzyszyła nam krok w krok” – zapisał w swoim dzienniku Horst Teltschik, doradca Kohla ds. międzynarodowych, który towarzyszył kanclerzowi podczas podróży do Polski.

„Wśród Polaków przeważały obawy – wspominał na początku lat 90. Günter Knackstedt, wówczas ambasador RFN w Polsce. – Sowiecka propaganda ostrzegająca przed »odwiecznym wrogiem Niemcem« nie pozostała bez wpływu na Polaków” – dodawał dyplomata. „Wydarzenia minionych godzin wzmocniły w Polsce obawy przed potężnym jednym państwem niemieckim” – przyznawał także Kohl we wspomnieniach (wydanych w 2005 r.).

Polski dyplomata Jerzy Sułek wspomina, że Mazowiecki wielokrotnie podczas rozmów z Kohlem próbował uzyskać od niego bardziej wiążącą deklarację, jakie będzie stanowisko rządu RFN w kwestii granicy na Odrze z chwilą zjednoczenia się Niemców. Bez powodzenia. „Dostrzegalem wtedy u naszego premiera najpierw objawy zniecierpliwienia, a potem już narastającej irytacji” – pisze Sułek.

10 punktów Kohla bez wzmianki o granicy

Na otwarcie granicy niemiecko-niemieckiej Kohl zareagował politycznie kilkanaście dni później: ogłosił 10-punktowy plan, w którym kreślił drogę do konfederacji obu państw niemieckich, a w przyszłości ich federacji. W tym przedstawionym 28 listopada programie zabrakło jednak jakiegokolwiek wzmianki o granicy z Polską, co w Warszawie odebrano jako duży mankament.

„To mnie postawiło do pionu” – wspominał później Mazowiecki (cytowany przez historyka Antoniego Dudka) i dodawał: „Niemcy szli pełną parą do zjednoczenia. Uważałem, że nie wolno nam tego momentu przegapić i trzeba uregulować sprawę naszej zachodniej granicy”. „Kohl odmówił demokratom w Warszawie tego, czego jego poprzednicy odmawiali polskim komunistom – bezwarunkowego i ostatecznego uznania linii na Odrze i Nysie” – tak powstała sytuację oceniał później historyk Włodzimierz Borodziej w książce „Geschichte Polens im 20. Jahrhundert”.

Celem władz w Warszawie stało się uzyskanie od Kohla jednoznacznej deklaracji, gwarantującej uznanie granicy jeszcze przed zjednoczeniem. Czy też, patrząc z formalnego punktu widzenia, jej potwierdzenie – PRL zawarła bowiem wcześniej traktaty graniczne z NRD (w 1950 r.) oraz z RFN (w 1970 r.).

Natomiast Kohl, dążąc do uzyskania szerokiego poparcia w społeczeństwie niemieckim – w tym także w środowiskach związanych ze Związkiem Wypędzonych (BdV), niechętnie nastawionych do ustępstw wobec Polski – zwlekał z ostateczną deklaracją aż do czasu sfinalizowania zjednoczenia. Środowiska wypędzonych były wówczas wciąż liczne i w większości tworzyły elektorat chadecji, formacji politycznej kanclerza.

Polsko-niemieckie przepychanki

Pierwsza połowa 1990 r. upłynęła na polsko-niemieckich przepychankach. Hajnicz pisze o „zazębieniu się nieufności” i konstatuje, iż „zaczął się długi, dokuczliwy i raczej zbędny spór”.

Mazowiecki domagał się, aby władze RFN i NRD parafowały projekt traktatu granicznego z Polską, który następnie zostałby podpisany przez rząd zjednoczonych Niemiec. Gdy stało się to niere-

alne, Warszawa zasugerowała stworzenie związku czasowego między przywróceniem pełnej suwerenności Niemiec (czyli ustaniem praw czterech mocarstw – USA, Związku Sowieckiego, Wielkiej Brytanii i Francji, które w 1945 r. przejęły kontrolę nad pokonanymi Niemcami i teraz miały uczestniczyć w uregulowaniu prawnomiędzynarodowego statusu zjednoczonego państwa) a podpisaniem i ratyfikacją układu granicznego z Polską. W Bonn uznano to za próbę opóźnienia procesu zjednoczenia – i nie ukrywano irytacji.

Pod naciskiem liberałów z FDP (mniejszego koalicjanta chadecji, CDU/CSU) Kohl zdecydował się na ustępstwo wobec Polski. Po wolnych wyborach w NRD (odbyły się 18 marca 1990 r.) oba niemieckie parlamenty, Bundestag i Volkskammer (Izba Ludowa w Berlinie Wschodnim), uchwaliły tego samego dnia, 21 czerwca, jednobrzmiące rezolucje w sprawie granicy. W wystąpieniu przed głosowaniem w Bundestagu Kohl stwierdził: „Granica Polski z Niemcami, tak jak dziś przebiega, jest ostateczna”.

Polska chce do „2+4”, Kohl jest sceptyczny

Do napięć na linii Warszawa–Bonn doszło też w trakcie przygotowań do konferencji „2+4” – z udziałem wspomnianych czterech mocarstw i obu państw niemieckich. Propozycja zwołania takiej konferencji – wysunięta podczas spotkania sześciu ministrów spraw zagranicznych 13 lutego 1990 r. w Ottawie, jako sposób na uregulowanie międzynarodowych aspektów zjednoczenia – zmobilizowała Warszawę do dyplomatycznej ofensywy.

Mazowiecki zażądał dopuszczenia do konferencji „2+4” przedstawiciela Polski w tej jej części, która miała dotyczyć bezpieczeństwa sąsiadów Niemiec. Kohl był temu przeciwny, ustąpił jednak pod naciskiem czterech mocarstw. Otoczenie kanclerza tłumaczyło potem, że sprzeciw Kohla wynikał z obawy, iż dołączenie do grona „2+4” kolejnego kraju stworzy precedens, po którym zaczną się zgłaszać kolejne państwa okupowane przez Niemcy podczas II wojny światowej, i że „2+4” zamieni się w szeroką konferencję, obradującą w nieskończoność.

W efekcie minister Skubiszewski uczestniczył w lipcowej sesji konferencji „2+4” w Paryżu, poświęconej kwestii granic Niemiec i sprawom bezpieczeństwa. Polska była jedynym krajem spoza owej



ARCHIWUM WOJCIECHA PIĘCIAKA

Transparent z demonstracji solidarnościowej z enerdowską opozycją, która odbyła się 5 października 1989 r. w Krakowie.

szóstki, której przedstawiciela dopuszczono do obrad. Ustalenia konferencji położyły kres wszelkim wątpliwościom wobec statusu granicy polsko-niemieckiej – można je uznać za przesilenie w polsko-niemieckim sporze.

Traktat o ostatecznej regulacji w odniesieniu do Niemiec (zwany traktatem „2+4”) podpisano 12 września 1990 r. w Moskwie – znosił on „prawa i obowiązki” czterech mocarstw i przywracał niemiecką jedność państwową.

„Z perspektywy 30 lat można stwierdzić, że Konferencja »2+4« oraz zawarty w jej wyniku Traktat miały fundamentalne znaczenie dla nowej architektury politycznej Europy, a dla Polski znaczenie egzystencjalne” – ocenił Jan Barcz, wówczas uczestnik delegacji polskiej.

Odszkodowania, reparacje

Sprawa cywilnoprawnych odszkodowań dla obywateli polskich poszkodowanych przez III Rzeszę, tak jak sprawa granicy, od początku obecna była w polsko-niemieckich rozmowach. Kohl wymienia ją wśród głównych tematów jego wizyty w Warszawie. W rozmowach z kanclerzem Mazowiecki sugerował utworzenie fundacji, która gromadziłaby i rozdzielała fundusze.

Sprawę odszkodowań międzypaństwowych (reparacji) pominięto w traktacie „2+4”. Mocarstwa zachodnie od początku były przeciwne włączeniu tej sprawy, a Związek Sowiecki po pewnych wahaniach przyłączył się do tego stanowiska.

Jak zaznacza Barcz, Niemcy zostały jednak zobowiązane do podjęcia negocjacji w sprawie świadczeń dla ofiar II wojny światowej – tych uprzednio pominiętych. Skutkiem takich zobowiązań było porozumienie z 16 października 1991 r. o utworzeniu Fundacji Pojednania Polsko-Niemieckie; rząd niemiecki przeznaczył na ten cel 500 mln marek (dziś byłaby to równowartość 250 mln euro).

Polska nie chce neutralnych Niemiec

O ile w sprawie trybu potwierdzenia granicy na Odrze i Nysie stanowiska Polski i RFN istotnie się różniły, o tyle w sporze o status zjednoczonych Niemiec Warszawa stanęła zdecydowanie po stronie Bonn. Tymczasem to właśnie pytanie, czy przyszłe Niemcy mają być neutralne, czy mają być członkiem NATO, stało się w pierwszym półroczu 1990 r. kluczowym problemem międzynarodowym.

W styczniu 1990 r. plan neutralizacji zjednoczonych Niemiec wysunął – z inicjatywy sowieckiego przywódcy Michała Gorbaczowa – premier NRD Hans Modrow (w Berlinie Wschodnim rządzili jeszcze komuniści, którzy za chwilę mieli stać się postkomunistami). Polska była przeciwna tej koncepcji. Takie stanowisko prezentował szef polskiego MSZ w czasie wizyty w Bonn 5-8 lutego. „Skubiszewski zawsze odczuwał podział Niemiec jako szkodliwy. Zjednoczenie musi nastąpić pod wspólnym europejskim dachem. Podziela on zdanie Kanclerza Fe-

deralnego, że Niemcy nie powinny być neutralne” – zapisał Horst Teltschik pod datą 7 lutego.

Z punktu widzenia Polski neutralizacja zjednoczonych Niemiec byłaby zagrożeniem: w ten sposób niemożliwy stałby się w przyszłości akces Polski do zachodnich struktur bezpieczeństwa. Moskwa liczyła w tej kwestii na poparcie Warszawy i srogo się zawiodła – chociaż początkowa niechęć nowych władz Polski do szybkiego podjęcia rozmów o wycofaniu wojsk sowieckich mogła sugerować coś innego.

Bilans zysków i strat

Czy lawirowanie w sprawie granicy opłaciło się Kohlowi? W pierwszych po zjednoczeniu Niemiec wyborach parlamentarnych w grudniu 1990 r. chadecy kanclerza uzyskali doskonały wynik (43,8 proc.), a razem z FDP absolutną większość w Bundestagu (54,8 proc.).

Nie dowiemy się nigdy, ile punktów procentowych kanclerz uzyskał dzięki temu, że podtrzymywał dwuznaczności wobec granicy z Polską i „dopieszczał” wypędzonych. W każdym razie o „nieprzyjemnym osadzie”, jaki konflikt ten pozostawił na wzajemnych stosunkach, pisze ekspert Instytutu Zachodniego Zbigniew Mazur. Trudno też autorytatywnie stwierdzić, w jakim stopniu zasiana wówczas nieufność miała wpływ na cyklicznie powracające w kolejnych trzech dekadach spory historyczno-polityczne, w tym na późniejszy konflikt o projekt Centrum przeciwko Wypędzonom autorstwa Eriki Steinbach, przewodniczącej BdV.

Długoletni korespondent dziennika „FAZ” w Polsce Michael Ludwig ostrzegł już w 1991 r., że gesty pojednania nie wystarczą, żeby zapobiec napięciom między obu krajami. „Miniony okres niemiecko-polskich relacji pokazał dobitnie, że istniejąca nieufność w polskim społeczeństwie ciągle jeszcze może zostać zinstrumentalizowana przez pojedynczych polityków i polityczne ugrupowania” – ostrzegł Ludwig w książce „Polen und die deutsche Frage”, pisanej na gorąco w latach 1990-91.

Wówczas, 30 lat temu, podpisany 14 listopada 1990 r. traktat graniczny zamknął sprawę polskiej granicy zachodniej. Z kolei podpisany 17 czerwca 1991 r. (już za rządów premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego) traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy stworzył solidny →

→ fundament na przyszłość. Zjednoczone Niemcy wsparły polską transformację, przyczyniając się potem w istotny sposób do przyjęcia Polski do NATO i Unii Europejskiej.

30 lat później

Dziś, po upływie trzech dekad, część problemów pozostaje jednak nierozwiązana; pojawiły się też nowe pułapki.

W minionych kilkunastu latach kwestia wypędzonych zatruła na jakiś czas polsko-niemieckie relacje. Choć rząd niemiecki nie stoi na stanowisku, że kwestia reparacji jest prawnie i politycznie ostatecznie zamknięta, w Polsce problem ten raz po raz powraca. Status Polonii w Niemczech czy sprawa nauki języka polskiego są nadal przedmiotem sporów. Rozmowy o restytucji dóbr kultury zagrabionych w czasie wojny utknęły w martwym punkcie, a spektakularne akty zwrotu pojedynczych eksponatów nie są w stanie zatrzeć wrażenia, że obie strony nie mają pomysłu na rozwiązanie tego problemu.

Natomiast wiele kwestii bulwersujących 30 lat temu zniknęło z agendy. Istnienie niemieckiej mniejszości w Polsce stało się oczywistością, a podwójne nazwy miejscowości w województwie opolskim nikogo już nie szokują. Emocji nie wzbudzają też niemieckie cmentarze wojenne na terenie Polski. W wymianie młodzieżowej biorą udział miliony młodych Polaków i Niemców, instytuty kultury są trwałym elementem relacji, kwitnie współpraca partnerska między miastami i samorządami. Podobnie jak współpraca między armiami obu krajów, sojusznikami w NATO. Polska jest piątym partnerem handlowym Niemiec (przed m.in. Rosją), a wartość obrotów osiągnęła w zeszłym roku rekordową wysokość 123 mld euro.

Aż trudno uwierzyć, że kiedyś Warszawa była petentem proszącym o pomoc.

© JACEK LEPIARZ

JACEK LEPIARZ jest współpracownikiem „Deutsche Welle”. Przez wiele lat był korespondentem Deutsche Presse-Agentur w Warszawie oraz Polskiej Agencji Prasowej w Berlinie, a wcześniej, w latach 1981-91, pracownikiem ambasady RFN w Warszawie.



NOBERT MICHALKE / BEW

Na ruinach dyktatury: partyjka szachów w opuszczonej wieży strażniczej – jednej z wielu, które tworzyły mur berliński. W oddali budynek Reichstagu, dziś siedziba Bundestagu. Rok 1990.

Wszystko mogło wyglądać inaczej

EHRHART NEUBERT

Nie byłoby zjednoczenia, gdyby wcześniej obywatele NRD nie wyszli na ulice – wschodnioniemiecki opozycjonista i teolog wspomina tamte dni i emocje.

W OKRESIE KOMUNIZMU czas stał w miejscu. Od czasu do czasu imperium trzeszczało, ale trwało. Aż w końcu runęło. Po wielu latach w opozycji daliśmy radę: jesienią 1989 r. także w NRD ludzie wyszli na ulice, zakładaliśmy nowe partie, sparyżowaliśmy polityczną tajną policję, wymusiliśmy okrążyć stół. No i 9 listopada 1989 r. runął mur berliński. Wcześniej to wszystko zdawało się niewyobrażalne.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej, we wrześniu, tajniacy towarzyszyli nam krok w krok, gdy wychodziliśmy z domu. Teraz czas nam uciekał, a my staraliśmy się za nim nadążyć. Każdego dnia trzeba było podejmować nowe decyzje, które często już po kilku godzinach okazywały się przestarzałe. Mieliśmy poczucie, jakbyśmy wpadli w wir na morzu. Nasze mieszkanie zamieniło się w biuro organizacyjne pełne chaosu. Musieliśmy szukać naszych dzieci gdzieś w tłumie gości, niemieckich i zagranicznych.

9 LISTOPADA ZAPOMNIELIŚMY, że jedno z dzieci ma urodziny. Wieczorem tego dnia odwiedziła nas grupa francuskich komunistów należących do jednej z wielu politycznych sekt. Chcieli nas przekonać, abyśmy budowali teraz prawdziwy socjalizm. Gdy dotarła zaskakująca wieść o otwarciu granicy, wycofali się rozczarowani. Wraz z murem berlińskim ulatniały się nie tylko lęki, ale też utopie.

Mimo nerwów, które towarzyszyły nam w tamtych tygodniach, mieliśmy poczucie głębokiej satysfakcji. Mur – konstrukcja absurda i destrukcyjna – upadł, gdyż w gruncie rzeczy nie miał już kto go bronić, gdy zniewolone do niedawna społeczeństwo tworzyło nową rzeczywistość. A my w tym uczestniczyliśmy. Świadkowie i aktorzy epokowej zmiany.

Musiała wówczas minąć chwila, zanim pojęliśmy, co się stało. We wszystkich tych latach przed rokiem 1989, wypełnionych żmudną opozycyjną robotą, gdy często towarzyszyło nam poczucie bezsilności, mieliśmy nadzieję na powolną demokratyzację NRD. Strategicznie nie pozostawało nam nic innego, jak tylko – obok organizowania czasem protestów – długa droga do odbudowy społeczeństwa obywatelskiego. Aby móc działać publicznie, wykorzystywaliśmy przestrzeń, którą stwarzał Kościół ewangelicki, organizowaliśmy sieci kontaktów i pracowaliśmy nad rozwojem samizdatu. Zadrośnię spoglądaliśmy na Polskę, gdzie na początku lat 80. udało się zmobilizować miliony ludzi. U nas stało się to dopiero w 1989 r.

WRAZ Z UPADKIEM MURU wewnętrzna jedność opozycji w NRD zaczęła pękać. Wielu moich przyjaciół sądziło, że nam, Niemcom, nie wolno odbudować narodowej jedności. Nocą z 9 na 10 listopada odwiedził mnie jeden z liderów pewnego środowiska opozycyjnego i próbował przekonać do tego, aby wydać apel

o ponowne zamknięcie granicy. Zdecydowanie odmówiłem. Ale rozumiałem jego motywację.

Podział kraju był produktem stalinizmu; produktem, który ranił ludzi i cały naród. Nie inaczej było ze mną: także moja rodzina żyła w obu częściach podzielonych Niemiec. Niektórzy prze-dostali się na zachód, podejmując ryzykowną ucieczkę. Ale my, Niemcy, byliśmy też świadomi potworności, które poprzedziły podział naszego kraju.

WSZĘDZIE W EUROPIE Środkowo-Wschodniej upadek komunizmu skutkowałam impulsem, by uleczyć rany zadane narodom. Na pierwszym miejscu stawiano narodową suwerenność i demokratyzację systemu politycznego. Ale dla nas, Niemców, nie było to takie proste. Wielu ludzi Kościoła i intelektualistów wskazywało na ambiwalencje związane z datą 9 listopada w naszej historii. 9 listopada 1938 r. w Niemczech wydarzył się wielki pogrom wymierzony w ludność żydowską, który zresztą tamtego 9 listopada 1989 r., w godzinach popołudniowych, upamiętniły uroczystości organizowane w kościołach w Berlinie i innych miastach. Wtedy, w 1938 r., był to wstęp do lawiny zbrodni, jakie szczególnie mocno dotknęły także Polaków. Dlatego nie ma w tym nic dziwnego, że polska polityka i polskie społeczeństwo początkowo krytycznie obserwowały proces jednoczenia Niemiec. Elementem porażenia sobie z tamtą historią była więc również potrzeba uleczenia zadanych ran.

W aspekcie politycznym i prawnym znaleziono rozwiązanie. Jednak aby głęboko w społecznej świadomości dokonało się uleczenie, potrzeba intensywnej i wspólnej rozmowy, która nie wypiera napięć. Pomóc może tu zorientowanie na trwałe wartości, z których wielu opozycjonistów w NRD, Polsce i innych krajach czerpało duchowy potencjał. To treść konwencji praw człowieka w eu-

ropejskiej tradycji, a także dziedzictwo kultury wysokiej wraz z religią jako najbardziej pierwotną siłą człowieka. Przyznaję, że w tamtych latach ja również czerpałem z tych źródeł. I gdy rozmawiałem z niektórymi spośród moich polskich przyjaciół, mówili to samo o sobie.

JEDNAK W OSTATNICH LATACH uświadomiłem sobie coś jeszcze. Skutki roku 1989 nie są statyczne ani nienaruszalne. Tak jak szczęśliwe konsekwencje nie były wówczas przewidywalne ani zdeterminowane, tak też dynamiczny proces odkrywania samego siebie nie jest w żadnym razie zamknięty. Wszystko mogło potoczyć się inaczej i faktycznie w niektórych kiedyś komunistycznych krajach inaczej się potoczyło. Ścisłe rzecz biorąc, również i dziś może potoczyć się różnie. Ponownie widać niebezpieczne tendencje polityczne, nie wszędzie państwo prawa jest stabilne. Nowa Europa wydaje się niezwykle krucha.

30 lat po zjednoczeniu Niemiec stare-nowe idee, którymi żyliśmy w roku 1989, a które były w stanie przekraczać zewnętrzne i wewnętrzne granice, pozostają aktualne. W ich duchu powinniśmy pracować i się modlić.

Przełożył WP

EHRHART NEUBERT (ur. 1940) jest teologiem ewangelickim. Pastor i duszpasterz młodzieży, od 1979 r. angażował się w grupach opozycyjnych w NRD, w związku z czym był celem inwigilacji bezpieki (Stasi). Jesienią 1989 r. współzałożyciel Demokratycznego Przetomu, jednej z nowych partii. Uczestnik obrad okrągłego stołu. W latach 1992-95 członek partii Związek 90/Zieloni, od 1996 r. w CDU. Zaangażowany w liczne inicjatywy mające na celu przezwycięzenie skutków NRD-owskiej przeszłości. Autor książek o opozycji w NRD. W „TP” opublikował kilka tekstów o rewolucji 1989 r. we wschodnich Niemczech.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 40/2020

REDAKCJA: Wojciech Pięciak | OKŁADKA: Marek Zalejski

TP TYPOGRAFIA: Marta Bogucka | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | KOREKTA: Katarzyna Domin, Grzegorz Bogdał

NA OKŁADCE: Przy Bramie Brandenburskiej, 31 grudnia 1989 r. | FOT. OWEN FRANKEN / CORBIS / GETTY IMAGES

WSPÓŁWYDAWCA:

PARTNERZY:



Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

Dlaczego potrzebujemy pomników

FLORIAN MAUSBACH

W stolicy Niemiec powinien powstać nie tylko monument Wolności i Jedności, upamiętniający przełom sprzed trzech dekad, ale także osobny pomnik poświęcony Polakom.

URSULA, RANY BOSKIE, PRZECIEŻ mało brakowało, a pojechałobyśmy w niewłaściwym kierunku!". Jest 9 listopada 1989 r., telewizja pokazuje dramatyczne sceny otwierania muru. Moja żona i ja wrzucamy kupione już bilety na nocny pociąg do Paryża do kosza, wsiadamy do auta i jedziemy z Frankfurtu nad Menem do Berlina. W strumieniu szczęśliwych i podekscytowanych ludzi przekraczamy mur berliński, z zachodu na wschód, ze wschodu na zachód.

Jesienią 1989 r. pokojowa rewolucja zachwiała w posadach dyktaturę. Rok później Niemcy znów są jednością. Bohaterska polska Solidarność uutorowała do tego drogę. Jednak będzie musiało minąć jeszcze 30 lat, zanim w roku 2020 w Berlinie zacznie się stawianie Pomnika Wolności i Jedności, dla upamiętnienia wschodnioniemieckich rewolucjonistów. Za inskrypcję posłużą patriotyczne hasła odważnych kobiet i mężczyzn z 1989 r.: „*Wir sind das Volk – Wir sind ein Volk*” („To my jesteśmy narodem – Jesteśmy jednym narodem”). Spór o ten pomnik trwał 20 lat. Bundestag musiał dwukrotnie głosować w jego sprawie.

Dlaczego Niemcy mają taki kłopot z pomnikami?

Postawa powściągliwości

Był rok 1995, gdy jako szef Federalnej Dyrekcji ds. Budownictwa (Bundesbaudirektion) otrzymałem nowe zadanie: odbudowania starej-nowej stolicy. Konieczne było szybkie stworzenie warunków dla planowanej przeprowadzki parlamentu i rządu z Bonn do Berlina. Wyjątkowe i jednorazowe zadanie – w wymiarze planistycznym, architektonicznym i budowlano-logistycznym. A także swego ro-

dzaju lustro, w którym natychmiast zaczęły odbijać się spory o nową samoświadomość Niemców w zjednoczonym od niedawna kraju.

Już samo to, że stolicą stanie się na nowo Berlin, nie było oczywiste. W 1991 r. posłowie Bundestagu decyzję o przeprowadzce – z niewinnego Bonn do Berlina, miasta z przeszłością, stolicy dwóch dyktatur, brunatnej i czerwonej – podjęli jedynie nieznaną większością głosów. Duże znaczenie dla uzyskania tej większości miały emocjonalne wystąpienia chadeka Wolfganga Schäublego i socjaldemokraty Willy’ego Brandta.

Powstała po II wojnie światowej Republika Bońską (jak później zaczęto nazywać zachodnie Niemcy) od początku obciążało trudne dziedzictwo. Był to dostateczny powód, aby państwo, które na swoją prowizoryczną stolicę wybrało idylliczne miasto w dolinie Renu, ćwiczyło się w sztuce powściągliwości, w skromności – również w sferze państwowej autoprezentacji.

Po ludobójstwie i zbrodniach wojennych, po manii wielkości, po monumentalizmie i propagandowych inscenizacjach w służbie narodowosocjalistycznego państwa i partii, postawa taka służyła – w wymiarze wewnętrznym – odnalezieniu samych siebie przez te nowe Niemcy jako demokracja i państwo prawa oraz – w wymiarze zewnętrznym – odzyskaniu na powrót uznania, w sensie zarówno politycznym, jak moralnym.

Budowle skażone historią

Nowa suwerenność i nowe znaczenie w środku Europy postawiły Republikę Berlińską (jak z kolei zaczęto nazywać zjednoczone już Niemcy) nie tylko przed większą niż wcześniej odpowiedzialno-

ścią. Państwo musiało znaleźć też swoją formę.

Jak miał się prezentować Berlin jako stolica, jak miały prezentować się budynki mieszczące parlament, rząd i ministerstwa? Czy wszystkie budowle z czasów narodowosocjalistycznych Niemiec – wzniesione w stylu nawiązującym do budownictwa publicznego z czasów imperium rzymskiego (co podkreślało wykorzystanie szarego trawertynu) i tyleż monumentalne, co przygniatające, budzące strach – powinny zostać wyburzone? O „budynkach skażonych przez historię” prowadzono długie dyskusje.

W końcu zapadła decyzja. „Skażone” budowle zostały objęte ochroną – jako zabytki i jako świadkowie historii, które nie zamierzano kwestionować – niemniej, za sprawą zabiegów architektonicznych i artystycznych miały zostać teraz przeobrażone w siedziby instytucji demokratycznego państwa.

I tak, kamienny Bank Rzeszy – przed 1989 r. siedziba Komitetu Centralnego partii komunistycznej rządzącej wschodnimi Niemcami – otrzymał teraz, już jako siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nowe życie wewnętrzne i został rozbudowany w nowoczesnym otwartym stylu. Ministerstwo Propagandy Josepha Goebbelsa, teraz mieszczące Ministerstwo Pracy i Spraw Socjalnych, otrzymało nową przeszkloną halę. Ministerstwo Lotnictwa Hermanna Göringa stało się Ministerstwem Finansów itd., itp.

Przeobrażenie objęło też XIX-wieczny Reichstag, obecnie siedzibę Bundestagu: w 1999 r. budynek zwieńczono nową szklaną kopułą, po której mogą poruszać się zwiedzający. Dziś kopuła jest popularnym celem dla turystów i mieszkańców



MILLA & PARTNER

Projekt (widziany z góry) Pomnika Wolności i Jedności, który właśnie powstaje w Berlinie.

stolicy oraz symbolem Republiki Berlińskiej. Kopuły są historycznymi symbolami suwerenności politycznej lub religijnej na pałacach i kościołach. Mało kto pamięta, że decyzję o jej zbudowaniu poprzedziła ostra konfrontacja i głosowanie w konwencie seniorów Bundestagu. Tak silny był wciąż opór przed wszelkiego rodzaju symboliką wyrażaną przez państwowe budowle.

Pogodny patriotyzm

Miasto bez pomników jest jak mieszkanie bez obrazów. Ludzie kształtują swoje mieszkania jako swój własny świat – wiszą na ścianach te, a nie inne obrazy, dzieła sztuki, ale też pamiątki, podobizny bądź zdjęcia osób żyjących i zmarłych. Od niepamiętnych czasów ludzie ozdabiają również swoją przestrzeń publiczną, place czy parki – rzeźbami, fontannami, dziełami sztuki i pomnikami. Honorując w ten sposób ważne dla nich postaci bądź wydarzenia historyczne, o wymiarze politycznym, militarnym, kulturalnym czy religijnym, pokazują i niejako utwierdzają wartości ważne dla ich wspólnoty, jak również swoją tożsamość. Także tożsamość narodową.

Wielu niemieckich intelektualistów uważa, że lekcją, którą powinniśmy wyciągnąć z narodowego socjalizmu, jest przezwyciężenie wszystkiego, co narodowe. Patos jest dla nich podejrzany. Patriotyzm uważają za żenujący wyraz emocji, który wywołuje złe wspomnienia. W zastępstwie niektórzy przywołują akademicką formułę „patriotyzmu konstytucyjnego”: zamiast kochać kraj i ludzi, należałoby kochać konstytucję. To trochę tak, jakby zamiast żony kochać instytucję małżeństwa.

Gdy jesienią 1989 r. obywatele NRD, domagający się wolności i jedności, przy-

nosili na demonstracje czarno-czerwono-złote flagi, wśród wielu na zachodzie wywoływało to jeszcze zdumienie i dezaprobatę. Dopiero mistrzostwa świata w piłce nożnej, rozgrywane w 2006 r. w Niemczech, rozemocjonowały gospodarzy tak, że po raz pierwszy na wschodzie i na zachodzie kraju widać było na ulicach bez-troskich ludzi, którzy swobodnie nieśli swoje flagi narodowe.

„Baśń zimowa” Heinricha Heinego – słynna satyra, w której XIX-wieczny poeta wyznawał, że gdy nocą myśli o Niemczech, natychmiast zaczyna cierpieć na bezsenność i koszmary – została teraz zastąpiona przez, jak to wówczas nazwano, „baśń letnią”: wielkie święto piłkarskie, podczas którego Niemcy wydawali się zaskoczeni sami sobą i faktem, że ich patriotyzm może być właśnie taki – radosny, pogodny i najzupełniej przyjazny.

Niemal dekadę później również pogodnie i przyjazne oblicze Niemcy chcieli pokazać nie tylko sobie, lecz także światu – w apogeum kryzysu uchodźczego roku 2015; wtedy nazwano je *Willkommenskultur*, kulturą serdeczności i gościnności.

Teraz wreszcie możliwe staje się – nawet jeśli nadal przy oporze niektórych – postawienie w Berlinie patriotycznego Pomnika Wolności i Jedności. Pomnika rewolucji, która zmieniła Europę i świat. A także, miejmy nadzieję, zbudowanie jeszcze jednego upamiętnienia, którego również do dziś brakuje w niemieckiej stolicy.

Pomnik dla Polaków

Był rok 2017, gdy pojawił się apel podpisany przez kilkadziesiąt znanych postaci życia publicznego, aby w centrum Berlina stanął pomnik poświęcony ofiarom niemieckiej okupacji Polski w latach

1939-45. Po trzech latach dyskusji czekamy teraz na decyzję Bundestagu w tej sprawie. W niemieckiej stolicy, w której aż do tej pory upamiętnia się jedynie mniejszości prześladowane przez narodowych socjalistów, byłby to pierwszy niemiecki pomnik dla państwa okupowanego przez narodowosocjalistyczne Niemcy.

Perspektywa taka zmobilizowała również krytyków. Twierdzą oni, że byłaby to nacjonalistyczna „recydywa” – groźba „nacjonalizacji” pamięci. Argumentują, że ofiary niemieckiej okupacji powinny być upamiętnione ponad granicami, wyłącznie w perspektywie ogólnoeuropejskiej.

Jednak czy Polacy nie zostali zaatakowani jako naród? Czy Rzeczpospolita Polska nie miała zostać unicestwiona jako państwo? Jakże inaczej moglibyśmy jako Niemcy przyznać się publicznie do naszej winy wobec Polaków i ich niezliczonych ofiar – a także, z kim innym mielibyśmy dążyć tutaj do pojednania, jeśli nie z Polakami, z narodem polskim?

I czy szacunek wobec narodów w ich wielości oraz różnorodności oraz publiczne docenienie ich szczególnego cierpienia nie jest właśnie postawą autentycznie europejską? ©

Przełożył WP

FLORIAN MAUSBACH (ur. 1944) jest architektem i miejskim planistą. W latach 1995–2009 szef Bundesbaudirektion, a następnie Federalnego Urzędu ds. Budownictwa i Planowania Przestrzennego. Autor wielu publikacji o architekturze i budownictwie. Działacz społeczny, jeden z inicjatorów Pomnika Wolności i Jedności oraz inicjator apelu o zbudowanie w Berlinie pomnika poświęconego ofiarom niemieckiej okupacji Polski.